

268
Wogórkowym sezonie, który właśnie mija, ale wcale się nie ma ku końcowi — największą frekwencję osiągnęła ostatnia sztuka Jarosława Abramowa „Klik — klak”. Nawet w największe lipcowe upały widowńia była pełna. Pełna publiczności, którą nazwałbym starą „warszawką”. Nie jest to kategoria wiekowa. Raczej socjologiczna. „Warszawka” składa się zarówno z młodych, jak i ze starszych. I w tym sensie niewiele się różni od przedwojennej. Nie wytworzyła ona opinii. Jest raczej jej funkcją i odbiciem. Była — jak jej przedwojenna odmiana — w modnych kawiarniach, chodził do teatru na przedstawienia, o których się mówi, w ogóle nie omija niczego, co mogłoby być tematem rozmów w biurze, przy stoliku kawiarnianym w niedzielne przedpołudnie na tarasie Hotelu Europejskiego, czy na plaży w Zalewie Zegrzyńskim.

Do STS-u „warszawka” nie chodziła. Nie ten etap. Nie zdążyła się jeszcze ukształtować w sposób widoczny w tym czasie, kiedy Abramow startował jako młody gniewny. Dotarła do niej jednak jego STS-owska sława. Nie wyraz pokolenia, któremu nie jest wszystko jedno, lecz sława autora, który nie obawia się politycznych tematów. I to się złożyło na obraz Abramowa, autora komediowego. Ta publiczność przyjęła „Klik — klak” jako potwierdzenie wizerunku młodego pisarza.

„Klik — klak” jest bowiem za-
bawnie skąpany w polityczności

stoku i łózka. Jest polityczny w podświadomości. Ale oglądany w teatrze przypomina człowieka na plaży, który ledwo wyszedł z wody i już jest suchy. Cała polityczność jakby wyparowała. Zachowywała się w kostiumach, w zachowaniu, w farsowych zdarzeniach, na których oparty jest utwór. Ale wyparowała z przedstawienia. Przedtem zresztą i ze sztuki.

Założeniem komedii jest zabawne rendez-vous, zorganizowane przez panią Kornelię z jej byłymi mężami. Zjawiają się kolejno: pierwszy mąż sanacyjny pułkownik, który brał udział w kampanii wrześniowej i niedowład intelektu może pokryć przynajmniej bitnością; drugi — dyplomata, który przed wojną wysługiwał się Beckowi, a później podlizywał „reżimowi”, zapewniając kogo należy o swojej opozycji wobec oficjalnej polityki sanacyjnej, aby teraz, kiedy już wolno mówić prawdę, usprawiedliwić współpracę wyniosłym stwierdzeniem, że ktoś przecież musiał uczyć tych ludzi posługiwania się nożem i widelcem. Przeszedł również trzeci mąż — ludowy wiceminister przemysłu, przed czasem spensjonowany. Każdy z nich czyni spowiedź cudzych grzechów. I to jest zabawnie podpatzione. Śpięcia między tymi panami, rozmówki, zdradzające do-
razne sojusze i linie podziału składają się na zabawę w stylu „Przekroju” z lat czterdziestych.

Rzecz toczy się gładko, jak w przedwojennym teatrze, do której dochodziła „warszawka”, węższą

jakiś aluzje, czy ukryte podobieństwo do stosunków wśród ówczesnych dygnitarzy. Pod względem sprawności i stylu jest to naprawdę przedwojenny teatr. To już chyba ostatni, co tak poloneza włoda. Renata Kossobudzka w roli pani Kornelii prowadzi dialog błyskotliwie, z całym wy-czuciem komediowych, a nawet farsowych wartości. Mieczysław Stoor pysznie rysuje postać pułkownika. Nawet Wieniśław Gliński potrafił przełamać własny schemacik bawidamka.

I to już wszystko. Wiecej autor nie miał nam nic do powiedzenia. Albo powiedzieć nie umiał. Nie mam do Abramowa pretensji, że hołduje teatralnej tradycji, czy nawet, że ją kultuwyje. Mam natomiast żal, że się uchyla od powiedzenia czegokolwiek na temat współczesności. Bo poza trzema eks-mężami jest jeszcze „sublokator”, Pani Kornelia, która umiała tak świetnie się urządzać w przeszłości w zależności od etapu jest wiecznie młoda. Jest jakby miarą czasu, przynajmniej pod względem zmian obyczaju. Anonsonowany przez nią „sublokator” jest tym czwartym, aktualnym mężem — nie-mężem. W ostatnim obrazie ukazuje się młody człowiek i nie ma absolutnie nic do powiedzenia. Nie ma żadnej przeszłości, jest na to za młody, ale nie ma również terażniejszości. Jest zupełnie pusty. Wchodzi na scenę ubrany jak cherubin i zaczyna się bawić klik —

Teatr

Bohater minionego sezonu

ANDRZEJ WRÓBLEWSKI

klakiem. Była to taka zabawka, która w zeszłym roku wywołała prawdziwy szal młodzieży. Obłędny hałas wywoływany przez wprawienie w szybki ruch dwóch kulek, umocowanych na sznurku — ogarniał podobno całą Europę, nie tylko Polskę. Współczesny bohater Abramowa jawi się więc nam jako idol minionego sezonu, który wypełnia własną pustkę hałasem klik — klaku.

I „warszawka” tym się bawi. Bo „warszawka” jest czuła na polityczność. Ale woli młodzieńców, grających w klik — klak, nawet

jeśli ich sytuacja wobec pani Kornelii jest dwuznaczna, niż kłopoty z młodzieżą, której nie jest wszystko jedno.

Ale to nie jest śmieszne.

P.S. Moje „Melancholijne refleksje” („Argumenty” z 2.VII.br.) wywołały zdziwienie Wojciecha Natansona. Nadesłał on do redakcji list, w którym stwierdza autorytatywnie, że w Toruniu podczas festiwalu nie byłem (co jest prawdą), przedstawień pokazywanych podczas tego spotkania nie oglądałem (co już jest dowolnym domysłem; mój Szanowny Korespondent zapomniał, że mogłem obejrzeć je przedtem, bo mam zwyczaj oglądać przedstawienia prowincjonalne na ich macierzystych scenach), że nie znam regulaminu festiwalowego (co jest prawdą, ale niewiele wpływa na meritum moich rozważań), wreszcie, że nie czytałem orzeczenia jury (co już wysłał sobie z palca).

Niezależnie od tych stwierdzeń, które zmusiły Natansona — jak pisze — do wyrażenia jego zdziwienia, mogę z kolei zapytać, jaki mają one związek z moim smętnym wnioskiem, że jest coś osobliwego w fakcie wpychania do jednego worka i ocenie na tych samych zasadach kilkunastej repliki rozrywkowego „Kramu z piosenkami” z nowym odczytaniem „Wyzwolenia” Wyspiańskiego? Mogłbym jeszcze dodać nieco demagogii i zadać mojemu Szanownemu Korespondentowi pytanie, czy rzeczywiście uważa wy-nik festiwalu i ocenę jury za powód do dumy?